# NA SZKOLNEJ ŁAWIE

CZASOPISMO OSTROWIECKIEJ MŁODZIEŻY SZKOLNEJ




Nr. 1. PAŹDZIERNIK 1936

## TREŚĆ NUMERU:



**Numer zawiera 16 stron. Cena numeru 20 groszy.**

# Czytelniku!

*Bierzesz oto do ręki pierwszy numer „Na szkolnej ławie" i uśmiechasz się. „Nareszcie" doczekałeś się go. Pewnie byłeś dotychczas obrażony na Redakcję, że „tak długo" nie dawała o sobie znaku życia. Spodziewałeś się zapewne wielkich zmian w wydawnictwie... Owszem, te są i będą, ale znowu nie tak „wielkie".*

*„Szkolna ława" przechodzi w CZASOPISMO. Nie jest to zresztą innowacją, bo w zeszłym roku tylko formalnie była „miesięcznikiem".*

*Zdziwisz się mocno, drogi Czytelniku, gdy nie zauważysz teraz w pisemku współpracy Szkoły Handlowej. Lecz nie wiń jej, ani też Redakcji. Powiedz po prostu: „Los chciał".*

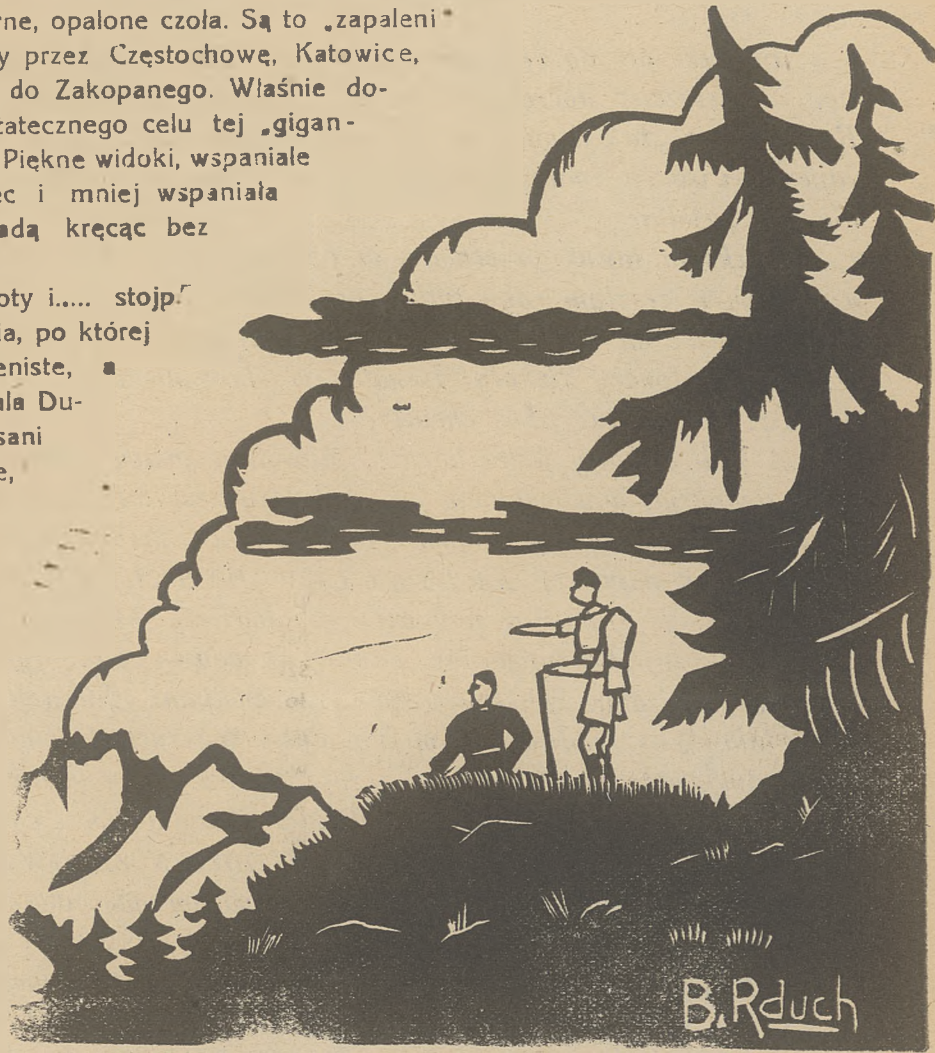
*A jeśli ciekawy jesteś bardzo, jaki plan pracy zakreśliła sobie w tym roku Redakcja, aby osiągnąć jak najlepszy rezultat, t. zn. podnieść pisemko na możliwie najwyższy stopień, przeczytaj co prędzej: przez umieszczanie w piśmie jak najwięcej A R T Y K U Ł Ó W  D Y S K U S Y J N Y C H. Przez dyskusję Redakcja zamierza wzbudzić w młodzieży ostrowieckiej energię oraz wlać w nią zapał i inicjatywę. Czy się to uda — zależy tylko od Was, Koleżanki i Koledzy. Piszcie dużo i o wszystkim. Niech to pisemko Wasze będzie dla Was środkiem wymiany myśli Waszych i poglądów. Umieszczajcie w nim swoje górne hasła i szczytny młodzieńczy idealizm. Starajcie się przede wszystkim, ażeby swoimi artykułami nadać ton i charachter pisemku. NIECH Z NIEGO WIONIE TO ŻYCIE MŁODZIEŃCZE, GWARNE, RADOSNE, SZKOLNE... Od was zależy, jaki będzie poziom pisemka. A miejcie ciągle na uwadze, że POZIOM PRASY UCZNIOWSKIEJ ŚWIADCZY O POZIOMIE KULTURALNYM MŁODZIEŻY i jej możliwościach umysłowych.*

*DO STARTU MŁODZI! Redakcja podaje temat do artykułu dyskusyjnego. Słyszy się teraz zdania, że samorząd szkolny najbardziej przygotowuje młodzież do życia; że wyrabia w niej cechy obywatelskie, samodzielność, obowiązkowość względem innych; kształci charakter, rozwija intelektualnie, jest szkołą życia. Czy tak jest w istocie — nie każdy jeszcze zdaje sobie z tego sprawę. Przeto należy to głęboko w sobie rozważyć i przemyśleć: CZYM WINIEN BYĆ SAMORZĄD SZKOLNY, CZYM JEST U NAS, JAKIE SĄ JEGO BRAKI I JAKIE MAJĄ ŹRÓDŁA. — Oto zagadnienia, które młodzież musi do gruntu poznać i przetrawić. Przeto mile będą widziane w skrzynce redakcyjnej prace traktujące o tych sprawach.*

*DO STARTU MŁODZI!*

**REDAKCJA.**

# Wspomnienia z wakacji.




W gorące południe mkną krętą drodą dwaj kolarze. Pot zalewa im czarne, opalone czoła. Są to „zapaleni" krajoznawcy, którzy przez Częstochowę, Katowice, Kraków wybrali się do Zakopanego. Właśnie dojeżdżają już do ostatecznego celu tej „gigantycznej" wycieczki. Piękne widoki, wspaniale szemrzący Dunajec i mniej wspaniała droga, po której jadą kręcąc bez przerwy pedałami.

Ostatnie obroty i..... stojp. Chwilka wytchnienia, po której rzucają się w pieniste, a straszliwie zimne fala Dunajca. Umyci, uczesani wdziewają spodnie, które, przechowywane w walizeczce, zachowują (jeszcze) „kanty". Eleganccy (sic) idą na poszukiwania kwatery.

Jakoż u pewnej „babci" znajdują „pierwszorzędne" lokum. Grunt — aby rowery były bezpieczne, bo inaczej, mając prawie puste kieszenie, z pewnością wracaliby piechotą. Drugą ich troską był też żołądek, który zaczął się dopominać o swoje prawa. Przeto obiad zjedli prawdziwie z wilczym apetytem. Czas wolny do wieczora poświęcili na poszukiwania za znajomą gębą, ale bez rezultatu. Wreszcie strudzeni legli na twardym łożu, „chrapiąc" i „gwizdając" przez sen ..

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

A nazajutrz, skoro świt rozciągnął się nad otuloną mgłą ziemią, już weseli, radośnie uśmiechnięci wdzierają się po ostrych skałach na leżące w czarnych chmurach groźne szczyty tatrzańskie. Wspinają się z iście ostrowiecką energią budząc wszędzie „podziw" nie tyle tą energią właśnie, ile nieturystycznym ubiorem (owych spodni z „kantami"). Oczywiście mijają po drodze wszystkich tych, którzy już wcześniej w górach się znaleźli. Gdzieś około Zawratu, spragnieni, „połykają" w wielkich ilościach śnieg (nie potrzeba dodawać — „zimny"). Górali, którzy na Zawracie proponują im sprzedaż mleka i serka owczego, zbywają łgarstwem i cygaństwem bez miary mówiąc, że mają

mleko z sobą, że pili już itd.

Kupiliby chętnie, jeszcze chętniej by zjedli, ale-rzecz prosta-nie mieli pieniędzy. Przeto nie chcąc być ośmieszeni przez dowcipnych górali, pną się wyżej ku niebu „Orlą Percią". Tam gdzieś na najwyższej skale zmordowani siadają okrakiem. Wyciągają z torby czarny chleb i herbatę. Zapasy nikną w pięć minut.

Nasyciwszy żołądek (weszłoby do niego dwa razy więcej), sycą wzrok pięknością widoków Zachwycają się nagą turnią i śmieją się (sic) z białego śniegu. Siedząc na „grani" mają po jednej stronie chmury, ciemność, że na krok nic nie widać, po drugiej zaś słońce wysyła swe promienie do każdej szczeliny, przepaści. Oddychają prędko płucami myśląc, że będą zdrowsi, bo to przecież górskie, świeże, zdrowe powietrze (tak zalecane przez lekarzy). Patrzą w przepaść, zda się, bezdenną i zamierają, ale nie wiadomo czy z zachwytu, czy ze strachu.

Wiele upłynęło czasu, nim poszli dalej na czworakach, na brzuchu, czołgając się, ba... „siudając". Wreszcie (okropność!) na własną rękę bez żadnych szlaków turystycznych spuszczają się do Doliny Pięciu Stawów. Zeszli kilkanaście metrów i musieli stanąć. Iść na dół było bardzo trudno, zawrócić w górę-niepodobieństwem. Zaczęli ryzykować skoki, „zjazdy", aż wreszcie po 3 godz. zrobili... 300 metrów drogi.

Pokaleczeni dotkliwie, ale z całymi jednak nogami poszli dalej Doliną Pięciu Stawów do Morskiego Oka, skąd piechotą ruszyli do Zakopanego (42 km.).

O jakiejś porze nocy cichej zasnęli kamieniem...

. . . . . . . . . . . . . . . .

A nazajutrz, skoro świt rozciągnął się po otulonej mgłą ziemi, już weseli, radośnie uśmiechnięci wdzierają się na nowe szczyty...

**Edward J.** kl. VIII. G. M.

# Muzyka i jej znaczenie.

**(Studium estetyczne).**

Ilekroć zastanawiam się, co jest najcudniejszą rzeczą na świecie, zawsze dochodzę do wniosku, że jest nią muzyka. Jest ona sztuką zawsze piękną, zawsze młodą, wieczną.

Zasadniczo rzecz biorąc różne dźwięki muzyczne, powiązane z sobą według pewnych prawideł, wpływają na bieg naszych uczuć. Od artyzmu ułożenia tych dźwięków zależy, że sprawiają nam one przyjemność, rozkosz wewnętrzną, tęsknotę za czymś idealnym, szczęście. I przeciwnie możemy odczuwać nieprzyjemność, wstręt, lub nawet odrazę, jeżeli te tony muzyczne powiązane są z sobą w sposób chaotyczny.

Ale nie tylko od zestawienia tonów zależy piękno muzyki. Bo może być dzieło nieskończenie doskonałe, lecz odtworzone przez złego lub nawet przeciętnego muzyka wzbudzi w nas gniew, złość tym większą, im właśnie piękniejsze jest dane dzieło. Musi być naprawdę wielki artysta, aby muzyka, którą on odtwarza, stała się „mową duszy" i tylko „mową duszy". Albowiem mylne jest mniemanie, że muzyka wyraża jakieś zagadnienia, np. patriotyczne, religijne; ona tylko działa na uczucie, jakie powstaje w nas od danego problemu. A ponieważ uczucie tkwi w psychice każdego człowieka, więc z tego względu korzyść i znaczenie muzyki jest ogromne.

Z powyższych rozważań wynikałoby, że każdy słuchający muzyki w zasadzie zyskuje wiele, podnosi swoje wartości osobiste. Słusznym to będzie tylko dla tego słuchacza wyłącznie, dla którego muzyka będzie dostępną w całym tego słowa znaczeniu. Tymczasem nie każdy pojmie dobrze i zrozumie np. muzykę symfoniczną. Muzykę należy udostępnić wszystkim, spopularyzować—musi się stać ona sztuką najbardziej demokratyczną i spełniać zadanie ogromne — siać kulturę duchową.

„Kultura nie jest ciężarem. Być kulturalnym — to najwykwintniejsza przyjem-

ność. Nie pod przymusem, ale ochoczo niech się po nią wszystkie ręce wyciągają. Bo Polska musi, M U S I . . . musi być kulturalną. Świat musimy olśnić bogactwem naszego ducha zbiorowego.

**Jan Pękalski.**

# Głód Pracy

Mrok począł zwolna ogarniać ziemię. Ukryte w gąszczach słowiki zaczynały zwolna swe wieczorne trele. I zdawałoby się, że cisza będzie trwała długo... Lecz nie... jakby na odzew w różnych stronach gąszczy śpiewacy wieczorni zaczęli stroić swoje instrumenty. Z pobliskiego stawu ozwał się chór żabi wszystkimi głosy, a odpowiedziało mu z łąki dalekie brzęczenie bąków wodnych.

I dopiero teraz świat może się wydać czarodziejskim, gdy cała kapela słowików odpowie na wszystkie głosy. Jakiś spóźniony podróżny stanął-słucha... dziwuje się i... własnym uszom nie wierzy. Czy śni... czy marzy.. czy dostał się do czarodziejskiego kraju?... sam nie wie. Wielce strudzony, pod przydrożnym drzewem rzuca kapelusz i kij podróżniczy. Zmęczony, zgnębiony siada i słucha.

Myśli jego plączą się coraz bardziej... obrazy wyobraźni stają się coraz mętniejsze... chór wieczorny robi swoje... i... zwolna powieki spadają na rozszerzone od bólu i troski oczy. Z nieba spłynął Anioł pokoju—Sen.

Na niebo zwolna wypłynął pyzaty księżyc, uśmiechnął się do drzew, które były najbliżej niego, potem do skrzypaków wieczornych i wzrok jego zatrzymał się na uśpionym podróżnym. Pyzaty jegomość zrobił duże oczy i nie może wzroku oderwać od śpiącej postaci.

Tak to on—Gustaw Kalinowski—ten sam, którego widział poprzedniego dnia czterdzieści km. od tego miejsca. Ale czego on szuka? Dla czego taki zmęczony i strudzony. Wczoraj go spotkał pod drzewem i dziś też go spotyka. Ale co miały znaczyć te łzy które u niego wczoraj widział cieknące po twarzy sznurem. Widocznie coś mu dolega. Jakby w odpowiedzi na rozmyślania Księżycowe twarz młodego człowieka skurczyła się, a na usta wybiegło ciche westchnienie. Za chwilę Gustaw otworzył oczy, a z gardła wydobył się jęk „jeszcze"...

„Oprzyj się o mnie, będzie ci dobrze" zaszeptało drzewo, ale Gustaw tego nie słyszał. Chciał wstać lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. —O Boże, Boże, kiedy skończy się moja męka i ta wędrówka — zaszeptał i upadł ciężko na ziemię, z której podnieść się już nie miał siły. Księżyc spojrzał na niego z litością, a przydrożne drzewo z cicha zaszemrało: „Biedactwo".

Kalinowski począł ciężko oddychać, a z piersi wydobywało się raz po raz ciche westchnienie Oddychał coraz słabiej... wolniej... Pierś jego podniosła się raz jeszcze ciężkim westchnieniem i... wszystko ucichło.

—Umarł—zaszeptały ze zgrozą pobliskie drzewa... —Umarł—powtórzyły słowiki w gąszczach. —Umarł—zarechotał chór żabi.

Księżyc zaczął chmurzyć czoło: —„Nie, to nieprawda, on musi żyć—on nie może umrzeć przed kresem swojej podróży. Za dużo cierpiał, aby miał teraz umrzeć.

Niebo zaczęło zwolna zaciągać się chmurami i z oddali poczęły dochodzić głuche odgłosy grzmotów. Odgłos grzmotów stawał się coraz bliższy. Węże błyskawic raz po raz rozdzierały niebo. Pierwsze ciężkie krople deszczu spadły na ziemię. Wiatr gnąc drzewa ku ziemi zatargał płową czupryną Gustawa i chłodną ręką pogładził po twarzy. Powieki, które były nieczułe na światło błyskawic, teraz zaczęły zwolna drgać.— Żyje—zaszeptało wszystko dokoła. Powieki zwolna podniosły się i Gustaw spojrzał przed siebie. Nic nie zobaczył, gdyż otaczała go ciemność. Na twarzy natomiast uczuł ożywcze strumienie deszczu. Zwolna zaczął sobie wszystko przypominać... Od tygodnia nie miał kawałka chleba w ustach. Od dwu tygodni jest w drodze w poszukiwaniu pracy.

W domu zostawił matkę z małą siostrzyczką. Pracy dostać nie mógł. Wszędzie słyszał to samo: „Nie ma miejsc wolnych..." „Niech pan zgłosi się za tydzień, za miesiąc, za dwa miesiące itd. A tam w domu została matka i siostra bez grosza z ostatnim kawałkiem chleba. I Gustaw ściąga boleśnie usta: „Boże, Boże, zmiłuj się nad matką starą i nad siostrą dzieckiem!"

Na horyzont wypłynęła jutrzenka. Gustaw klęknął. Wzniósł oczy ku niebu, a z piersi wyrwała się błagalno-dziękczynna modlitwa ku Stwórcy-Panu.

Za chwilę wstał, wziął kij i kapelusz i poszedł dalej... Ból jego widziała tylko noc czarna, niebo i las.

„EM" kl. VII. Gim. Żeń.



# „Bieda-szyby pracują".

Śląsk to kraj, w którym mieszczą się niezmierzone bogactwa. Najcenniejszym z nich jest węgiel—skarb niezbędny... Słusznie przeto nazwano Śląsk „krainą czarnych diamentów". I pomyślałby ktoś, że ludzie w tym kraju są zamożni i opływają w dostatkach.—Tak!... kiedyś za dobrych czasów... Obecnie w dobie kryzysu ten górnik, który przez wiele lat wydobywał z ziemi jej skarby, cierpi głód. Do domu zawitała nędza...

Nieliczni tylko szczęśliwcy pracują za zmniejszone zarobki. Na ulicach, po parkach wałęsają się ludzie bez celu; szare łachmany... to bezrobotni! To ci, których los wyrzucił poza nawias życia. Niepotrzebni... To ludzie, którym razem z pracą odebrano wiarę w siebie, w otoczenie... w Boga(!) Zawiązano im ręce, skazano na bezczynność, a przez to na zwątpienie, upadek fizyczny i moralny.

—Dlaczego? — z pewnością zapytacie.

—Brak pracy!—to jedyna odpowiedź.

Te dwa krótkie, suche wyrazy mieszczą w sobie największy tragizm doby obecnej.

Górnik to człek spokojny, pracowity, o skromnych wymaganiach, zawsze mówiący prawdę, bo tego nauczyła go Wiara... Wiara, która go teraz moralnie podtrzymuje. Wyrzucono go na bruk. .

Długo myślal, jak wybrnąć z tej wielce tragicznej sytuacji. Nie wybrnął z niej hutnik, ni inny robotnik śląski, drogę do wyjścia znalazł jednak górnik. Górnik, który dziesiątki lat pracował na kopalni, zżył się z nią do tego stopnia, że tylko „czarna śmierć" mogła go od niej oderwać. Teraz mimo iż sparaliżowane ma ręce, choć gwałtem odciągnięto go z kopalni, pozostał jej jednak wierny...

Stworzył „bieda-szyby"!...

Na prowizorycznym kołowrocie spuszcza się kilkadziesiąt metrów w głąb ziemi wydobywając jej skarby zdradliwe, by zdobyć kęs chleba dla siebie i rodziny. Kopie węgiel.. i to kopie go mimo zakazów, mimo konfiskowania fur i wózków węgla, zdobytego w nadludzkim wysiłku, zroszonego potem, a często krwią górników...

Bo urządzenia „bieda-szybów" są nader prymitywne. Górnik używa prostych narzędzi, przy tym zabezpieczeń nie ma żadnych. O doprowadzeniu świeżego powietrza nie może być mowy. To też rozrzedzone powietrze i gazy ziemne podkopują fatalnie zdrowie górników. Często zdarza się, że oberwie się niczym nie podparty strop, a górnicy znajdują niechybną śmierć... Dlatego też udając się na miejsce pracy górnik żegna się z rodziną, a zjeżdżając na zwykłej linie w głąb szybu robi znak krzyża... On wie, że szyb ten może się stać dlań nie tylko miejscem śmierci, ale i grobem. Zdarzają się bowiem wypadki, że kolumny ratunkowe ze względu na własne bezpieczeństwo nie docierają do szczątków tych, którzy ulegli katastrofie.

I kiedy gigantyczne budowle kopalń stoją nieruchome i zamarłe, w okolicznych terenach powstają coraz to liczniejsze „bieda-szyby", stworzone pracowitą ręką śląskiego górnika.

**Bernard Rduch.** Gimn. Męskie.

# Jesień.

Jesień — łabędzi śpiew lata.

Jesień — ostatni promień z przejasnej tęczy, co dni rozśpiewane w blasku swym kąpała, pieściła; jesień — ostatnie spojrzenie rozstających się kochanków — porywające głębią treści, bogactwem uczuć wymowne, piękne, a smutne.

Jesień — elegia; jesień — rapsod siły tej wiośnianej, co się już zwolna w błękity rozwiewa.

Jesień przyszła, smutna, zimna, płacząca strugami deszczu, wzdychająca ciężko hukami piorunów. A na falach wiatru w ślad za nią płyną odrętwienie, niemoc, śmierć.

Co ranek rosy srebrne na konających trawach i kwiatach płaczą; co ranek lekuchno wiatr chucha na pola, poranione ostrzem pługów, poszarpane bronami, jak gdyby ból ich chciał złagodzić; a słonko pojrzawszy na ziemię, wnet oczy odwraca i za chmury się kryje, na boleść nie chcąc patrzeć. Nocą znów księżyc blady muska ją srebrnym pocałunkiem i ból nieco ukaja. A cisza przeogromna swe kręgi zatacza szeroko... a pustka bezbrzeżna hen, hen się ro zsr uwa.

Nie słychać już ptaków-pieśniarzy; odleciały w kraje dalekie, zamorskie zasnuwając niebo smugami ciemnymi. Musnęły ziemię ukochaną rozmiłowanym wzrokiem po raz ostatni i... w dal nieznaną szybkie poniosły ich skrzydła. — Żegnaj kraju!

Kędyś od góry snują się z pod wrzeciona cud-prząśniczki i płyną powietrzem srebrno-białe, jedwabiste nitki babiego lata. Płyną lekko, lekuchno...

Po polach pastuchy ognie rozpalają; błyska światło jedno, drugie... dziesiąte. Dymy błękitne zasnuwają pola, ogień bucha krwawo i skry sypie.

A nad szczytami gór i lasów rozpala się łuna krwi, purpury, tęczy i roztopionego złota, ogarnia horyzont i niebo, zda się, płonie całe.

Piękny widok, groźny widok.

Świat kąpie się w purpurze blasku, nurza w płomieniach zorzy, w pożodze ognia szaleje.

A potem przychodzi ciemność, co pożar gasi, zalewa—przychodzi noc.

Noc ponura a piękna, milcząca i groźna.

Jesienna noc.

Mgły sine otulają świat cały całunem przeaksamitu, pieszczą ziemię, upajają jakąś smutną,cudną, nieokreśloną melodię; — czy znasz ty melodię mgieł nocnych?

Melodia to dla ucha nieuchwytna, więc sercem, duszą jej słuchaj; — a jeśli rozmarzonemu coś ci w sercu zadrga, jeśli ci dusza czymś wielkim a nieokreślonym się rozśpiewa — wiedz, że to pieśń mgieł nocnych sprawiła: pieśń nocy.

Wszystko w niej śpiewa: i te bory, i góry, jeziora, pustynie, i podniebne przestworza; wiatru w niej słychać granie, westchnienia i jęki, szemrzą srebrzyste hymny rzek i strumyków, po kamieniach śpiewane, i słychać jak drzewa rozmarzone, śniące, upojne szeleszczą nieśmiało. To gra natura na strunach swej cudnodźwięcznej harfy; cudnie gra, potężnie gra. O! bo natura to wielka mistrzyni, a pieśniarka z niej— nieporównana.

Tak śpiewają noce jesienne, wciąż jeszcze piękne, gwiazdami tkane, ale już nie skąpane w srebrze księżycowej poświaty, już nie malowane złotem i opalem. Nieprzeniknionego mroku płaszcz biorą na siebie czarny, posępny, migotliwymi blaski gwiazd jedynie tu i ówdzie tkany — i tak śpią noce smutne, jesienne.

A po lasach cichych a potężnych, odwiecznych, po rżyskach głuchych, po stawach wśród trzcin śpiących giną mgły zapachów, co się z kwiatów hen, hen zasnuły. Konają milcząco całe morza woni bzów i jaśminów, fiołków i róż, narcyzów i leśnych konwalii; rozwiewają się zwolna, ulatują, nikną...

Nikną ostatnie świadki minionego, kwietnego lata; co pięknym było, co czarem było prawdziwym, snem się już teraz wydaje — snem cudnym, po którym przebudzenie się jest bólem niemal, rozpaczą, co sercem targa, o szaleństwo przyprawia.

Lecz każdy sen mija — i ten przeto minął; przebudzenie nastąpiło i rzeczywistość naga, z olśniewających szat ułudy odarta, błysnęła przed oczyma smutną prawdą. Niknie poezja życia, a w każdą jego komórkę szara proza się wkrada. Okrutnie odkrywa natura tę prawdę bolesną, że jednak życie pięknym nie jest.

Dlaczego tak czyni? Dlaczego nie kłamie, że świat jest piękny, dlaczego nie ka-

że nam w to kłamstwo uwierzyć? Toć „błogosławione kłamstwo, które nam daje szczęścia złudę". Toć słodszym byłoby życie, choćby tylko na złudzeniu szczęścia oparte.

Lecz jesień idzie bezlitosna i tchnieniem śmierci usypia wszystko, co dotąd kwitło i żyło. I wszystko zamiera, ginie, a rodzi się jeno melancholia, rodzi się jeno smutek.

Smętnie zadumana idzie wciąż naprzód — jesień.

Smutna jesień...

**M. Młudzik** VII a Gimn. Męskie.

# Pochód jesieni.

I.

Spoglądam z okna mojego pokoju
I żal mi serce i dusze przytłacza,
Gdy widzę szybkie postępy jesieni
Jak bezlitośnie życie kwiatów skraca.

II.

Wiatr szarpie główki astrów i chryzantem,
Przygina dumne dalie i goździków łany,
Sczerniały barwne zinie, krzewy pięknych werbem
Zwarzy szron, rwiąc je wichrem w rozpaczliwe tany.

III.

Sczerniały georginii pączki zaledwie w rozkwicie —
Trawnik się barwi resztkami zieleni —
Ach, czemuż takie krótkie wasze kwiatki życie
I czyż nic nie powstrzyma pochodu jesieni?!

IV.

A tu znów zgięte w żebraczym pokłonie
Zwichrzone głowy pysznych słoneczników —
Może kołaczą wspomnienia w ich łonie,
Wizyty lotnych gości, śpiew polnych koników.

V.

Na ścieżki padły liście winogradu
W żywych kolorach, jak perskie makaty —
Aż je huragan wichury rozniesie...
Znikły czerwone, białe i niebieskie kwiaty.

VI.

Kiedy na moment przyjdzie chwila ciszy,
Wiatr tylko lekko wstrząsa zwiędłe kwiecie,
To zdaje mi się, że ich skargi słyszę...
Czemuż wy kwiatki mówić nie umiecie?!

**Irena Szyberówna,** kl. I Gimn. Żeńsk.
Pisane w końcu października 1935 roku.

# POŻAR

Gore! Gore! krzyczeli biegnąc ludzie ze wsi,
Pobiegłem razem z nimi; wpadliśmy najpierwsi.
Dom palił się płomieniem. Dymu czarne smugi
Unosiły się w górę. Ognisty smok długi,
Skręcony na kształt liny z ognistej pokręty
Wił się wkoło domostwa spłaszczony, przygięty,
Aż rozdziawiwszy paszczę, tysiącznymi zęby
Uczepił się za komin, na dach i za zręby
Słomą pokrytej chaty. Ogniste płomyki
Karmę objęły szybko. Tak smoka języki
Zatruwszy obejmują schwytaną ofiarę —
Jak on żerował wściekły, właził w każdą szparę.
Z czarnego na brunatny, z siwego na bury
Mienił się i słał oddech swój w podniebne chmury.
Na koniec rozszalały, przyczaił się, wstrzymał,
Zdawało się, że zląkł się, zleniwiał lub zżymał,
A on zebrawszy siły, skuliwszy się w sobie
Rozdarł na pół domostwo i na strony obie
Rozrzucił siejąc wkoło strach wielki i trwogę
Na gaszącą płomienie pożarną załogę,
Co na wieść o nieszczęściu biegła na ratunek,
Zabrawszy wszelki, przy tym potrzebny rynsztunek.
Lecz przybyła za późno, więc stoi na boku
I oczyma dym ściga, co w kształcie obłoku
Unosi się nad miejscem zgliszczami pokrytym,
Niegdyś pełnym radości, dziś w smutek spowitym

Opuszczają plac boju strudzeni strażacy
I powracają zwolna do przerwanej pracy.
Z nimi i ci, co przyszli widzieć cud przyrody,
I ci, co biegli bronić od ognia zagrody,
Wracają do swych zajęć, bo żniwa za pasem,
Więc rolnicy się muszą ograniczać z czasem.
Zostaje tylko zgraja obszarpanych dzieci
Szukających mozolnie w stosie starych śmieci —
Lecz i te się do domów powoli rozchodzą,
Wraz na ziemię ciemności z woli niebios schodzą.
Nastaje wieczór cichy, słychać żab śpiewanie,
A na zgliszczach kobiecy płacz i narzekanie.
Gdzie wczoraj jeszcze wrzało życie pełne gwaru,
Pustka panuje głucha, kochanka pożaru.

**Eugeniusz Fąfara** kl. VII. (G. M.)

## Ach, ta czwarta klasa!...

Wychowawca nasz kochany!
Tylko jakiś zatroskany,
Pewnie Mu też zmartwień nie brak,
Klasa nasza liczna jest wszak.

My uczniowie grzeczni, mili,
Składek jeszcze nie wpłacili.
Każdy bawić się jest rad,
Tylko mu gotówki brak.

Uczeń każdy — chłopak żwawy,
Chętnie rwie się do zabawy.
Do nauki to zaś tak,
Jakby miał już ze sto lat.

Opinią się też cieszymy,
Więc się dwójek nie boimy.
Jest tu wielu z pośród nas
Co to „mają jeszcze czas..."

Ale nie brak i prymusów
Chłopców zdolnych i linusów,
Dżentelmenów i sportowców
I mizernych „pociągowców".

Hałasujem, bijem w ściany,
A profesor nasz kochany
Nigdy rady dać nie może
Z tą czeredą, o mój Boże!

Teraz w szkole złote czasy,
Lecz dla ucznia czwartej klasy —
Więc koledzy ręce wznieść
Wychowawcy dajmy cześć.

**„Ovens"** kl IV. G. M.

## CO WAŻNIEJSZE?

— Te! Gospodyni! Pyrgaj do kancelarii i spytaj się, czy można iść na ten film,

— Wypchaj się! Nie widzisz, że się religii uczę. Powiedz mi lepiej, co to jest panteizm?.

— Czyś na głowę upadła? Mnie się pytasz? Idź do Hanny Jasnowłosej, to ci „powi!" Mnie się pytaj o to, w jakim filmie kto gra, albo ile czasu Iso-Hollo leciał 2 km.

— Głupiaś! Wynoś sie!

Zrażona tym amatorka kina i sportu idzie do siły wyższej.

— Gospodyni samorządu! Słuchaj! Idź do kancelarii i spytaj się o te kino, „wisz" w „Palace'u"

— Idź! A fizyki to się za mnie św. Filomelon nauczy?!

— Hallo! Panienki! Hannie „kicha nawaliła" — rozlega się głos Zochy.

— Co? Od roweru?

— Ależ nie! Ślepa kiszka!

— No to idę zobaczyć — mówi zaciekła kinomanka.

Wchodzi do gabinetu, pociesza chorą i na odchodnym mówi: — „Niech ci kołdra lekką będzie".

— Panie „psorze" — woła widząc na korytarzu jakiegoś profesora — Panie „Psorze", można iść do kina na ten obraz?

— Nie wiem dziecino, spytaj się pani dyrektorki. O widzisz tam idzie.

Kinomanka pędzi co sił w tym kierunku. (Kucharski przy niej niemowlę--orzekła potem jedna z jej koleżanek).

— Pani Dyrektorko, czy można iść na ten film w „Palace"?

— Można.

— OOO! Victoria! Triumf!

Wpada z dzikim wrzaskiem do klasy: „Można iść do kina!"

* * *

Wszystkie dziewczynki były tego popołudnia zaniepokojone, bo owej kinomanki na filmie nie było!

— Musiało się coś stać! — orzekły jednogłośnie.

I rzeczywiście stało się.

Gdy nazajutrz pytały się jej, dlaczego nie była w kinie podziwiać „fascynującej" urody Almy Kar, odrzekła:

— Słuchałam transmisji z meczu Polska—Dania.

Przegraliśmy 1:2 — Psiakość!

„**Wasz**" kl. VII. (G. Z.)

## Mój pierwszy seans spirytystyczny.

O godz. 5 wszystkie punktualnie stastawiłyśmy się u Kryśki. Po chwili zamieszania przystąpiłyśmy do dzieła.

Było to w zimie, więc ściemniało się szybko. To też po zapuszczeniu rolet w pokoju było prawie ciemno. Z trudnością odróżniało się kontury mebli i zarysy postaci.

Z grobową miną i takimże głosem Irka mówi:

— Duchu Mickiewicza przybądź!

Naprężone palce, przyśpieszone oddechy, skupione twarze, wszystko to wraz z grobowym głosem Irki nastraja mnie do śmiechu. Ale powstrzymuję się.

Widzę, że inne mają także do tego ochotę. Wreszcie naprężenie przerywa Halina wpadając do drugiego pokoju. Za jej przykładem idzie kilka innych. Irka (mistrz ceremonji) zagraża, że jeśli która wściubi nos do pokoju, dostanie po nim pantoflem (doszłoby do tego z łatwością, bo pantofle, zdjęte dla większego nastroju, stały rzędem koło kanapy).

— Kogo wywołać?

— I tak nikt nie przyjdzie-wtrącam.

— Jak nie wierzysz, to się wynoś; jeśli wątpisz—to pewnie, że nikt nie przyjdzie.

— E! Dajcie spokój.

— Już wiem! Stanisława Augusta! Zwymyślam go za to, że wstąpił do Targowicy — woła wzburzona Irka.

— No! Lu!

Duchu St. Augusta, przybądź!

Cisza. Tylko zegar swoim jednostajnym „tik-tak" mąci ją nieco. Nagle rozdziera ją turkot powozu.

— O Jezu! — woła Kryśka—Mamusia wraca!

W jednej chwili wszystko wraca do pewnego porządku, a my odrabiamy lekcje.

Tylko dotąd żałuję, że St. August nie zdążył przyjść do nas, bo nie mogłam zobaczyć, jak Irka będzie mu wymawiała, że przystąpił do konfederacji targowickiej.

Wierzcie mi, że żałuję szczerze.

**E-wa** kl. VII Gimn. Żeńsk.

## Wspomnienia z roku szkolnego 1935|36.

Miałyśmy takiego profesora, że na lekcjach niebo otwierało się przed nami.

Można było gadać, jeść, odrabiać lekcje, wogóle robić to, co się komu podobało. A ten człowiek o anielskiej cierpliwości milczał, a gdy nas „obrabiano" na sesjach.. bronił.

Jego dobroć oceniamy teraz, gdy go już, niestety, nie ma. Mamy zamiast niego coś wręcz przeciwnego.

Lekcje te były anielskim czasem wypoczynku, a gdy się rozmawiało zanadto, dostawało się „kółko". 10 takowych stanowiło „dwóję kołeczkową", która jednakże nie miała żadnego wpływu na stopień.

Razu pewnego pan „psor" rzekł: — Jeśli panie się nie uspokoją, to uciekne się do innej metody, nie będę stawiał „kółek"...

— Tylko krzyżyki? — dolatuje spokojny głos z kąta klasy. Naturalnie cała klasa „ryczy".

A jak łatwo się było wykręcić od odpowiedzi, słówek, czy czegoś podobnego.

Nie to, co teraz. Wogóle, ścięta głowa w swoich najśmielszych marzeniach nie przekraczała tych granic, jakie myśmy z całym spokojem i premedytacją przekraczały.

„Sed tempora mutantur et nos mutamur in illis“ — i wszystko zmienia się na Bożym świecie. Minęły także te przemiłe lekcje odpoczynku, minęły jak sen, a po nich nastąpiła twarda i niemiłosierna rzeczywistość.

Nastąpiły prawdziwe lekcje.

„**WASZ**“ kl. VII. Gimn. Żeńsk.

# U Karaimów w Trokach.

**(Sprawozdanie z wycieczki).**

W czasie tygodniowej wycieczki po kresach północno - wschodnich zawadziliśmy o Troki.

Troki, ongiś dumna stolica Kiejstuta, dziś maleńka i uboga mieścina z wszelkich jednak względów zasługuje na zwiedzenie. Wszystko w nich jest interesujące: cudowne położenie wśród przepięknej grupy jezior i ruiny dwu starych zamków pamiętające pogańskich kneziów dawnej Litwy, Krzyżaków i ludność stanowiąca pstrą mozaikę wyznań, ras i języków. Niespełna 3 tysiące dusz liczące miasteczko zamieszkałe jest przez przedstawicieli 5 wyznań i 7 różnych grup etnicznych. Polacy, Białorusini, Rosjanie, Litwini, Tatarzy, Żydzi i Karaimi mieszkają zgodnie obok siebie na niewielkim obszarze miasteczka. Z tych wszystkich grup etnicznych niewątpliwie najciekawszą i najbardziej egzotyczną dla mieszkańców Polski zachodniej stanowią Karaimi.

Niezbyt wielu w Polsce jest ludzi, którzy słyszeli coś o tej naszej najmniejszej mniejszości będącej równocześnie jednym z najmniejszych narodów świata, a ci, którzy o nich coś niecoś wiedzą, uważają Karaimów za sektę żydowską.

„Odkrycie“ Karaimów w Trokach nie nastręcza żadnych trudności, gdyż zajmują oni w miasteczku zwartą dzielnicę, nadaną im dawnymi przywilejami.

Pragniemy zobaczyć przede wszystkim ich świątynię, która zwie się kienesą. Znaleźliśmy się przed nią po paruminutowym marszu. Nie mogliśmy jednak jej zaraz zwiedzić, bo wewnątrz znajdowała się jakaś żeńska wycieczka. Miałem więc dosyć wolnego czasu, by ją z zewnątrz oglądnąć. Kienesa, dość niepokaźny budynek, nie odznacza się wcale starożytnością, jakkolwiek stoi na miejscu, które nieprzerwanie od XV. wieku było zajęte przez świątynię karaimską

Wewnątrz zwiedziliśmy kienesę, oprowadzani po niej przez sympatycznego Karaima, który w zastępstwie nieobecnego hazara czyli duchownego, udzielał nam informacyj o świątyni i Karaimach wogóle.

Chcąc się czegoś więcej o Karaimach dowiedzieć, wdałem się z nim w rozmowę po zwiedzeniu kienesy. Mówił dziwnie łamaną polszczyzną. Opowiadał, że większość Karaimów zajmuje się ogrodnictwem. Ogrodnictwo, a ściślej mówiąc uprawa jarzyn i warzyw, jest dominującym zajęciem Karaimów trockich. Zwłaszcza w uprawie ogórków wyspecjalizowani są doskonale. Są przeto znane na całej Wileńszczyźnie.

Praca na roli, której oddają się Karaimowie od wielu pokoleń, wyryła na ich twarzach piętno. Zauważyłem, że nie maluje się na nich przebiegły wyraz twarzy, jaki spotykamy u ludzi trudniących się od wieków handlem. Twarze ich spokojne, prawie melancholijne, ożywiają się wtedy, gdy mówią o swej przeszłości: o Krymie, Morzu Czarnym i... gdy odżegnują się od wspólnoty z żydami.

Niedługo pożegnałem się z naszym przewodnikiem, który proponował mi kupno znakomitej chałwy karaimskiej. Zachwalając ją powołał się na to, że bardzo smakowała Panu Prezydentowi, który przed kilku laty odwiedził kienesę trocką. Nie wypadało nic innego zrobić, jak ją kupić..

Dzielnicę karaimską opuściliśmy kierując swoje kroki w stronę postoju autobusów.

W krótkim czasie siedzieliśmy już w autobusach, które zawiozły nas do Wilna. Z Wilna pojechaliśmy do Białowieży i... Hajnówki, bardzo niebezpiecznej miejscowości, o czym się Koledzy z VII i IV kl. przekonali. Ale o tym innym razem.

B. R. (Gim. M.)



# Z cyklu przygód łazika.

Artykuł ten jest dalszą częścią opowiadania, które Redakcja zaczęła drukować już ub. r. Aby przeto Czytelnik miał przed oczyma całokształt tego opowiadania, Redakcja podaje krótką treść początku.

Po spakowaniu wszystkich potrzebnych rzeczy do pieszej wędrówki wyruszył autor nocą z Chorzowa do Czerny przez Katowice. Idąc samotnie nocą przygrywał sobie na organkach. Gdy znalazł się w Trzebini świtało. Po krótkim odpoczynku wyruszył do Krzeszowic, gdzie obejrzał miejscowe kamieniołomy. Do Czerny przybył koło południa. Tam też zwiedził t. zw. źródło Eliasza i nie mogąc nigdzie przenocować udał się do pobliskiej wsi — Łebkowic. W Łebkowicach poprosił wójta o nocleg. Ten wręczył mu karteczkę z adresem gospodarza, który miał go przenocować. Gospodarz przywitał włóczęgę na pozór dosyć chłodno, bo okazał mu się bardzo podejrzany, a to dlatego, że był nieogolony, nieumyty i oblepiony kurzem. Dopiero potem rozjaśniło się jego poważne oblicze. Mieszkanie przedstawiało się nader ubogo. Ale zmęczony, nie zwracał autor na to zbytniej uwagi.

## Wędrówka do Czerny.

(Ciąg dalszy)

Coś mnie jednak zdziwiło. Obrazy przedstawiające Świętych Pańskich, sceny Pisma św. pokrywały belkowanie wybielonych ścian. Na tak wielki budynek izba wydawała mi się trochę za mała. Spodziewałem się, że obok będzie jeszcze jedna. Pomyliłem się jednak, bo, jak się później okazało, dom stał na zboczu wzniesienia i dlatego wykorzystując różnicę poziomu od strony wzgórza wkopano część budynku w ziemię. W części tej mieścił się chlew, a ponad nim coś w rodzaju strychu.

Po tęgim, naprędce przygotowanym obiedzie, postanowiłem się trochę przejść i przy tej sposobności zobaczyć, czy nie odkryję we wsi czegoś ciekawego. Najwięcej chodziło mi jednak o to, by się gdzieś porządnie wykąpać. Spodziewałem się bowiem, że w Łebkowicach będzie choć jakiś strumyczek, jeśli nie rzeka. Tęskniłem za wodą, jak podróżnik po piaskach Sahary, gdyż miałem szalone pragnienie, a tu jak na złość gospodarz wody nie posiadał, a tylko mleko. Przy jego domku bowiem, który stał na wzgórzu, źródła żadnego nie było, a po wodę musiał chodzić aż do drogi.

Uwolniony od pęt gniotącego tornistra, jak mały rozbawiony dzieciak, zbiegłem po kamiennej ścieżce do drogi, która, według objaśnień gospodarza, miała zaprowadzić do upragnionej wody. Droga, po której stąpałem, była pełna wyboi i błota. Na szczęście nie trwała długo.

Rzeczka szemrała tuż opodal. Wąskim kamiennym korytem płynąca przezroczysta woda wiła się już zdaleka przez zieloną polanę, jak ciało leżącego w blaskach słońca węża. Potoczek był jednak za płytki, by można się było w nim wykąpać. Poszedłem

więc dalej kamienistym brzegiem zachwycając się naturą, która tutaj przed zdumione oczy widza rzuca coraz to cudowniejsze obrazy wprowadzające człowieka w zachwyt.

Idąc tak oddalałem się od wsi coraz to bardziej. Z widnokręgu zniknęły już mchem pokryte dachy chat i tylko obok nich rosnące drzewa z szeroko rozpiętymi koronami kołysały się majestatycznie. Stąpałem wśród szerokiej ścieżki, po bokach której rosły gęste i zielone krzaczki. Czasami wyrastała jak gdyby z pod ziemi polana, pokryta czaszkami starych wapieni, gdzieniegdzie znów drzewa nachylały swoje tajemnicze podwoje pozwalając przybyszowi spojrzeć na piętrzące się kominy wabiących skał.

Patrzyłem się długo i nie miałem dosyć. Musiałem przyznać, że jednak okolice, w których mieszkałem w porównaniu z tymi są pozbawione wszelkiego naturalnego uroku.

Dopiero po dłuższej chwili zdecydowałem się wleźć do wody, która mimo gorąca była chłodna jak lód.

Wykąpawszy się orzeźwiony wracałem do domu, lecz tym razem nie sam, a w towarzystwie staruszka, którego po drodze przy krzyżu spotkałem. Dla urozmaicenia sobie drogi poszedłem do domu ścieżką leśną, która, według opowiadania staruszka, miała obfitować w piękne widoki. W dali gdzieś turkotało koło młynu wodnego, którego echo rozlegało się wśród drzew.

Na kwaterze czekało już na mnie świeże mleko. Nie mogę wprost opisać, jakim przysmakiem jest dla mnie wypić szklankę mleka wprost od krowy, kiedy jeszcze biała piana burzy się na wierzchu. Najlepszy to chyba specjał, jaki wogóle kiedykolwiek spożywałem. Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało. Gospodarza nie było już w izbie. Przed godziną poszedł na pole aby zakończyć koszenie. Co mam teraz począć ze sobą — pomyślałem mimo woli spoglądając na zegarek, którego wskazówki wskazywały dopiero czwartą po południu.

Nie namyślając się długo zapytałem się



gospodyni, gdzie to pole leży i którędy się tam dostanę. Mocno zdziwiona takim zapytaniem objaśniła mi całą drogę z wszystkimi szczegółami.

Wśród szumiących łanów dojrzałego już zboża, które jeszcze stało nietknięte, kroczyłem wesoło pogwizdując melodie najnowszych przebojów. Po dłuższych poszukiwaniach ujrzałem pochyloną sylwetkę mego gospodarza wśród szeleszczących kłosów złotega żyta.

— Szczęść Boże — zawołałem, kiedy znalazłem się niedaleko niego.

— Dej Panie Boże — odparł nabożnie spoglądając zdziwionymi oczyma na mnie.

— Czy pozwoli pan, że trochę pomogę — zapytałem nieśmiało, wiedząc, że praca na roli jest dla mnie nowością, bo jeszcze nigdy nie miałem możności pomagać przy żniwach.

— Jeśli pan ma ochotę — odpowiedział jeszcze bardziej zdziwiony.

Zabrałem się do roboty. Poprosiłem

go, by mi pokazał jak się odbiera.

I już po chwili jak „wytrawny" rolnik chodziłem za nim, wiążąc ścinane kosą zboże.

Wieczorem, kiedy słońce już dawno przysłoniło swoje złote oblicze firankami ciężkich rozlanych chmur, wracaliśmy zmęczeni do domu.

(D. c. n.)

**Bernard Rduch,** Gimn. Męsk.

# Wieści z Bratniej Pomocy.

Zarząd „Bratniej Pomocy", rozpoczynając wraz z nowym rokiem szkolnym swoje prace, jako jeden z głównych celów wytknął sobie zbliżenie wszystkich kolegów do „Bratniej Pomocy oraz zapoznanie ich z organizacją i jej celami, aby w ten sposób pobudzić wszystkich do współdziałania z Zarządem na terenie Gimnazjum.

Nie wszyscy bowiem koledzy doceniają ważność współpracy i harmonii pomiędzy Zarządem a członkami Br. P. A jest to rzecz najważniejsza — ważniejsza nawet od pomocy materialnej. Żaden zarząd, nawet najbardziej oddany i gorliwie pracujący dla instytucji, nie zbierze wydajnych plonów swej pracy, jeżeli nie zyska moralnej pomocy i współpracy jej członków. Pracować dla dobra i rozwoju instytucji powinni wszyscy. Zarząd winien być jedynie ośrodkiem najintesywniejszej pracy i jak gdyby regulatorem prac wszystkich członków kierując ich na właściwe tory. Jeżeli podobna powyższej reakcja na terenie danej instytucji nie zachodzi, instytucja taka kuleje, prowadzi jedynie marną wegetację i nie wydobywa ze siebie żadnych pierwiastków wartościowych, twórczych — egzystuje bez pożytku dla ogółu.

Wśród wielu Kolegów, niestety, utarło się dotychczas przekonanie, że „Bratnia Pomoc" istnieje jedynie po to, aby zbierać składki, udzielać pożyczek itp. Do tego dochodzi bardzo często pokątna krytyka Zarządu:... że nic się nie robi, nie organizuje; że wielu musi płacić składki na rzecz Br. P. nie mając przy tym żadnych z niej korzyści; że mało urządza się zabaw, kuligów; że Br. P. nie postarała się dotychczas o uzyskanie dla uczniów ulgowych biletów do kina i wiele, wiele innych rzeczy. Nikt jednak nie wystąpi z wnioskiem jak daną rzecz przeprowadzić, nie umotywuje, dlaczego jest ona potrzebna. lecz przechodzi do porządku dziennego zwykłym machnięciem ręki i słowami: „Zarząd jest od tego" lub „powinno być". Świadczy to zarówno o złym zrozumieniu zadań i celów Bratniej Pomocy, jak o niewyrobieniu na tym polu jej członków. Bo przecież, gdyby koledzy, po rozważnym rozpatrzeniu na zebraniu gminy klasowej każdej obchodzącej ich sprawy, uchwalili jaki wniosek przedkładając go z kolei Zarządowi, nastąpiłaby wtedy żywa wymiana myśli pomiędzy członkami B. P. a Zarządem; wzrosłoby zainteresowanie instytucją i wiele rzeczy tak przyjemnych jak i pożytecznych dałoby się zrealizować.

Nastąpiłaby wtedy podwójna korzyść: Zarząd znając życzenia członków B. P. starałby się je w miarę możności wykonać, członkowie zaś przez zrealizowanie swych życzeń nie mieliby powodu do narzekań.

W ten sposób wzrosłaby współpraca na terenie instytucji, powstało zaufanie pomiędzy członkami a Zarządem i wzajemne zrozumienie się.

Reasumując apeluję do Kolegów, aby żywiej zainteresowali się instytucją, do której należą i przez dyskusję na zebraniach gmin klasowych wysuwali wnioski do Zarządu B. P. oraz...aby szybciej regulowali składki na Bratnią Pomoc.

Sekretarz Zarządu B. P.

## Czytajcie i rozpowszechniajcie „Na Szkolnej Ławie".

# SPORT.

## Sport w klasie IV.

Staraniem kolegów, Rducha i Wasilewskiego, zorganizowano w kl. IV Koło Sportowe podlegające Gimn. Kołu Sportowemu, ale mające odrębną organizację i własne sekcje. Koło to, ma na celu rozrywkę i rozwój fizyczny wśród kolegów kl. IV. Poszczególne sekcje otrzymały swoich trenerów, a mianowicie:

Koszykówka — kol. Rduch
Siatkówka — „ Kozłowski
Szczypiorniak — „ Wasilewski
Lekkoatletyka — „ Rduch
Piłka nożna — „ Wasilewski
Narciarstwo — „ Pawłowski




Sekcja piłki nożnej rozpoczęła już treningi i rozegrała mecz z repr. Kl. VIIa i VIIb, wygrywając w stos. 3:0 (2:0). Bramki strzelili: kol. Wasilewski, Pietrusiński i Rduch po jednej.

Podczas tego meczu odznaczyło się doskonałe trio obronne, w osobach, kol. Rynia (bramka), kol. Starzomskiego i Popka (obrona). Napad szwankował w 2-giej połowie. Sędzia kol. Baran — dość znośny.

## Czwartacy gromią Szkołę Rzemieślniczą

### w szczypiorniaku.

11 : 1 (6 : 0)

Mecz odbył się 10.X. na boisku gimnazjalnym.

Wynik ten jest o tyle zasłużony, że kl. IV grała w dziesiątkę bez obrońcy Popka. Gra była naprawdę ładna. Bramkarz Rynio nie mógł wykazać swych umiejętności, bo otrzymał przez cały mecz zaledwie trzy piłki. W obronie Starzomski i Soiński byli doskonali. Także Kwiatkowski i Pawłowski wypełnili swe zadanie na pomocy całkowicie. W ataku wyróżniał się techniką, celnym podaniem i nadzwyczaj silnym strzałem na bramkę — Rduch. Dobrymi technikami okazali się Wasilewski i Pisarek, których kombinacje z Rduchem przyniosły większość bramek. Sędzia p. prof. Muciek b. dobry. Nie uznał on tylko jednej bramki, którą strzelił Rduch. Bramkami podzielił się cały atak, a mianowicie: Kwiecień, Wasilewski (1), Pisarek (2), Rduch (3), Barwiński (4).

**„Sewer"**, Ref prasowy kl. IV G. M.



Dnia 18 września b. r. zorganizowano pod kier. p. prof. Mućka pierwsze od istnienia gimnazjum w Ostrowcu zawody pływackie o mistrzostwo tego zakładu.

W konkurencji 100 m. st. grzb., 100 m. i 200 m. st. dowolnym zwyciężył kol. Kierysz (II b). 100 m. st. klas. wygrał kol.

Nowicki. W sztafecie 5×50 zwyciężyła kl. IIIb. Sztafetę 3×100 st. zm. wygrała kl. IIIa. Kilku kol. wykonało następnie skoki z trampoliny. Na wyróżnienie zasługują: Bobiński, Radwan, Bartnik i Koseła. Mecz waterpolowy wygrało osłabione K. S. Z. O. z sekcją pływacką G. K. S.-u z wynikiem 6:2.

---

Na boisku Szk. Handl. odbyły się dnia 11 b. m. zawody, które przyniosły nast. wyniki:

Siatkówka: G. K S. — H. K. S. 30:16 (15:10). Koszykówka: G. K. S. — H. K. S. 24:4 (12:4).

Dla G. K. S.-u zdobyli punkty: Mittelstaed (2), Baran (4), Rduch (6) i Wcsiek (12).

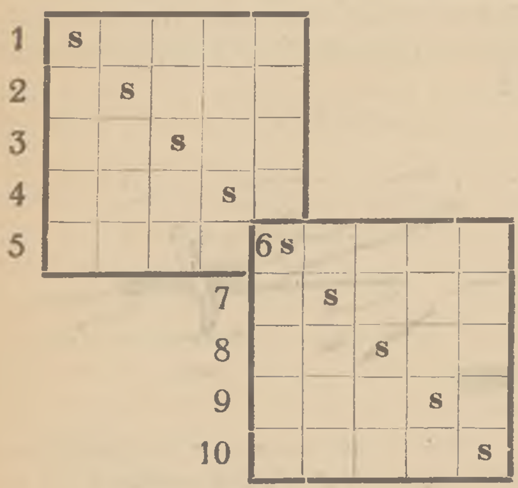
W połowie zawodów musiały nasze Koleżanki i „cywile" opuścić boisko z bliżej nieznanych nam powodów.

**Referent prasowy G K.S.** Ostrowiec.

## Krzyżówka geograficzna.

Ułożył Jan Borkowski kl. IIIa.

Za rozwiązanie — 5 punktów.




Znaczenie wyrazów:

1. Kraj pod protektoratem Francji.
2. Przemysłowe miasto w zagłębiu Ruhr (Niemcy).
3. Państwo w Europie.
4. Przemysłowy okręg w Polsce.
5. Kolonia francuska.
6. Okręg przemysłowy, przyłączony plebiscytem do Niemiec.
7. Port japoński.
8. Miasto w Małopolsce Wschodniej.
9. Miasto na Polesiu.
10. Główne miasto w Nigerii (Afryka).

Sposób rozwiązania:

W rządki poziome należy wpisać dziesięć pięcioliterowych wyrazów wraz z literą „S".

## Kącik Redakcji.

Na wstępie Redakcja oznajmia, że do współpracy na polu linorytnictwa przystąpili obecnie kol. kol. Dijakiewicz i Bobiński. Rozpoczęli oni pracę pod fachowym kierownictwem kol. Rducha B.

---

Następne numery Redakcja pragnie poświęcić Żeromskiemu, Prusowi, Sienkiewiczowi i Skardze ze względu na rocznice ich zgonów. Prosimy przeto nasze Koleżanki i naszych Kolegów o nadsyłanie artykułów, które by dotyczyły tych wielkich ludzi. Ujęcie prac dowolne, a więc można w nich rozważać zagadnienia, wysuwane przez Żeromskiego i innych, a które są aktualne w dobie dzisiejszej; można mówić w tych pracach o swym osobistym stosunku i o wrażeniach, jakich autorzy doznali po przeczytaniu dzieł tych naszych sławnych przodków. Bliższych szczegółów udzieli zainteresowanym Redakcja.

**OPIEKUNOWIE PISMA:**

**Krasnowolska H. i Krzyk S.**

**KOMITET REDAKCYJNY:**

**Makarewiczówna W.** (Gimn. Żeńsk ( **Bystroniówna Z.** (Gimn. Żeńsk.) **Pękalski J.** (Gimn. Męsk.) **Rduch B.** (Gimn. Męsk.)

**ADMINISTRACJA:**

**Czerwonko Z.** (Gimn. Męsk.) **Lipińska A.** (Gimn. Żeńsk.)

**REDAKTOR NACZELNY: Pękalski J.**

**WYDAWCA:**

**Bratnia Pomoc Uczniów Państw. Gimnazjum Męskiego w Ostrowcu.**

„Sztuka" — Ostrowiec, Denkowska 22.